

Piotr Wołejko: Czy USA stają się papierowym hegemonem?

Prezydentura Baracka Obamy dobiega końca. Gdy administracja 44. prezydenta pakuje się do kartonów i szykuje do przekazania władzy Hillary Clinton bądź Donaldowi Trumpowi, można już pokusić się o wstępne oceny dokonań byłego senatora z Illinois. Czy jako gospodarz Białego Domu zostawia Amerykę bezpieczniejszą i silniejszą na arenie międzynarodowej? A może jego dwie kadencje to systematyczna erozja amerykańskiej potęgi i okres dynamicznego nadrobienia dystansu przez główne mocarstwa do słabnącego hegemonu? Przeczytaj analizę Piotra Wołejki napisaną dla „Teologii Politycznej Co Tydzień” Kres hegemonu? Świat po Obamie.

Przekonanie o erozji globalnej dominacji Stanów Zjednoczonych, nad którym to procesem prezydował Barack Obama, jest już tak powszechne, iż można je traktować w kategorii mitu. Polska ma nieśmiertelną „winę Tuska”, przy pomocy której można uzasadnić każde niepowodzenie, a Ameryka ma „Thanks Obama”. Czy rzeczywiście „Thanks Obama” znajduje zastosowanie także w polityce zagranicznej i przekłada się na pozycję USA na arenie międzynarodowej?

Truizmem będzie stwierdzenie, że ocena polityki zagranicznej USA pod przewodnictwem Baracka Obamy jest niejednoznaczna. Obama w dyplomacji ma swoje sukcesy (układ atomowy z Iranem i otwarcie

relacji z tym krajem po trzech dekadach wrogości), porażki (zbyt łatwe wycofanie się z Iraku, Syria), lepsze (pivot ku Azji) i gorsze momenty (Afganistan i talibowie coraz bliżsi przejęcia kontroli nad krajem). Jak każdy prezydent, który sprawował urząd przed nim. Poddawanie się narracji klęski i ciągu niepowodzeń Obamy jest dość proste – Republikanie i prawicowe media w USA od początku postanowiły Obamę zwalczać i to na całego. Nie udało się powstrzymać jego reelekcji, lecz sięgnięto po wszelkie możliwe narzędzia i triki, aby rzucać mu kłody pod nogi. Teraz blokuje się mu możliwość nominowania sędziego do Sądu Najwyższego, co jest rzeczą bez precedensu. W Kongresie Obama przez większą część swojej kadencji nie miał wsparcia, lecz twardą i zamkniętą na próby porozumienia opozycję. Nic dziwnego, że w polityce wewnętrznej rządził głównie za pomocą tzw. executive orders, natomiast jego uwaga skupiała się raczej na sprawach międzynarodowych. Takiemu podziałowi prezydenckiej uwagi sprzyjały zresztą takie wydarzenia jak Arabska Wiosna (i wynikająca z niej wojna domowa w Libii oraz w Syrii), zajęcie Krymu przez Rosję oraz Donbasu przez rosyjskich żołnierzy udających miejscowych separatystów, Fukushima, chińska polityka militaryzacji Morza Południowochińskiego, Brexit, żeby wymienić tylko kilka z nich.

Trzy przyczyny osłabnięcia Ameryki

Przyczyn powszechnego przekonania o słabnięciu Stanów Zjednoczonych należy szukać jednak nie tylko w fundamentalnym sprzeciwie amerykańskiej prawicy (polityków oraz mediów), lecz również w kilku innych wydarzeniach oraz decyzjach Obamy oraz jego administracji. Punktem wyjścia musi być kryzys finansowy, który wstrząsnął Ameryką i był pierwszym, a zarazem najpoważniejszym, wyzwaniem dla nowego i niedoświadczonego prezydenta. Pęknięcie

bańki na amerykańskim rynku nieruchomości wywołało kaskadę upadków instytucji finansowych – krach na Wall Street szybko przełożył się na Main Street, czyli na zwykłych Amerykanów. Podjęte przez Obamę oraz Rezerwę Federalną działania do dziś wzbudzają kontrowersje, a niektórzy twierdzą, że w szybkim tempie odtworzono – tyle, że do potęgi – stan przedkryzysowy. Zalew taniego (de facto darmowego) pieniądza napędza, w sztuczny sposób, wzrost wartości aktywów na amerykańskiej giełdzie, jednak wzrosty te mają niewielkie, jeśli w ogóle, pokrycie w danych dotyczących realnej gospodarki. Popularność Donalda Trumpa w dużej mierze tłumaczy się tym, że pokryzysowe lata „odbudowy” w minimalnym stopniu przełożyły się na kieszenie milionów Amerykanów z Main Street. Oni już nie wygrywają, co celnie zauważył Trump i co często powtarza na swoich wiecach.

Kryzys finansowy spowodował nie tylko wzrost nierówności i frustracji części amerykańskiego społeczeństwa, lecz także wywołał całkowitą zmianę podejścia do polityki międzynarodowej w Pekinie. Władcy Chin do czasu kryzysu finansowego trzymali się rady towarzysza Denga, by robić pieniądze, a głowę trzymać nisko i się nie wychylać. Później pojawił się slogan „harmonijnego wzrostu”. Po kryzysie Chiny uznały, że dość już cierpliwego czekania – czas wykorzystać sprzyjające wiatry historii i realizować własne interesy w sposób otwarty. Bez krygowania się, bez tworzenia zasłon dymnych. Ta zmiana podejścia przez Chiny to bodaj najbardziej istotny czynnik zmieniający arenę międzynarodową w XXI wieku. Z racji tego, że Stany Zjednoczone pełniły rolę globalnego hegemonu, chińska zmiana w dużej mierze była skierowana przeciwko Waszyngtonowi. Przeciwno sieci sojuszy oraz sferze wpływów Ameryki. Obama nie dostrzegł tego na początku swej prezydentury, co skończyło się poważnym zawodem (nici z G-2) i reorientacją polityki wobec Chin (konstruktywny dialog tam, gdzie to możliwe, gdzie indziej realizacja własnych interesów bez przesadnej troski o reakcje Pekinu). To zresztą

typowe dla Białego Domu za Obamy – gdy coś się nie udaje, następuje próba reorientacji polityki. Do relacji chińsko-amerykańskich jeszcze wrócimy.

Tymczasem trzeba jeszcze zwrócić uwagę na drugą, nie mniej istotną od kryzysu finansowego kwestię, która wpływa na percepcję Stanów Zjednoczonych za prezydentury Obamy. Otóż sam Obama, jak i najbardziej wpływowi urzędnicy w jego administracji nie są wyznawcami ideologii głoszącej, iż Stany Zjednoczone są absolutnie wyjątkową i niezbędną dla świata potęgą. I że działania USA są z zasady dobre, nie tylko dla Ameryki, lecz także dla pozostałych. Obama wyciągnął wnioski z prezydentury swego poprzednika, Georga W. Busha i jego neokonserwatywnych jastrzębi. Według Obamy trzeba wystrzegać się działań nagłych, ale przede wszystkim należy unikać działań głupich (don't do stupid shit to jedna z dewiz Obamy, a zarazem motto amerykańskiej polityki zagranicznej za jego rządów). Zamiast ekscypjonalizmu i przekonania o posiadaniu moralnej racji do działania, Biały Dom za Obamy kierował się w dużej mierze pragmatycznym rachunkiem zysków i strat. Nierzadko kalkulacje te trwały całymi miesiącami, a deliberowanie nad problemami bywało przedmiotem kpin. Te wydawały się uzasadnione, gdy decyzja była tożsama bądź bardzo zbliżona do pierwotnej propozycji (jak przy skierowaniu do Afganistanu dodatkowych żołnierzy – tzw. Afghan surge).

Trzeci czynnik, który negatywnie wpłynął na percepcję amerykańskiej potęgi na świecie to Syria i niesławna „czerwona linia”. Rozdzieliłbym tutaj Syrię jako całość od czerwonej linii, gdyż podejście wobec Syrii jako problemu można ocenić jako porażkę, natomiast czerwona linia stała się symbolem odwrotu Ameryki. W podejściu do syryjskiego

problemu trzeba mieć na uwadze, iż jest to wojna domowa na sterydach – początkowe protesty przeciwko Assadowi przerodziły się w krwawą jatkę, a Syria stała się polem bitwy pomiędzy regionalnymi sunnickimi (Arabia Saudyjska, Katar) oraz szyickimi (Iran, Hezbollah) graczami. Do gry weszły także Stany Zjednoczone oraz koalicja głównie zachodnich państw, w tym Francji i Wielkiej Brytanii, a także Rosja – po przeciwnej do USA i ich sojuszników stronie. Działania Ameryki w sprawie Syrii to ciąg niepowodzeń, które swe źródło mają w tym, jak rozwinęła się sytuacja w Libii po obaleniu Muammara Kaddafiego. Obama nie chciał jednoznacznie angażować się w konflikt syryjski, gdyż – słusznie jak sądzę – uznał, iż Syria to Libia do kwadratu, a może nawet do sześcianu. Stąd mało entuzjastyczne wsparcie USA w postaci szkolenia niektórych grup rebelianckich (zakończone kompromitującym szybkim rozbiciem i rozpierzchnięciem się pierwszej wyszkolonej i uzbrojonej przez Amerykanów grupki bojowników) oraz kampania nalotów, która powinna już dawno obrócić w gruzy niewielkie i niezbyt zabudowane terytorium znajdujące się pod kontrolą Państwa Islamskiego/ISIS.

O ile polityka wobec Syrii jako całości to porażka, to „czerwona linia” i jej efekty to prawdziwa klęska. Katastrofa. Nie tylko wizerunkowa. Gdy będąc prezydentem największego światowego mocarstwa zapowiadasz, że jeśli wydarzy się A, to z twojej strony reakcja będzie oczywista – nastąpi B, to nie możesz później wypchać się sianem. A to zrobił Obama, który najpierw zapowiedział, że jeśli Assad użyje broni chemicznej, to Ameryka ostro zareaguje, a później stwierdził, że wcale nie miał na myśli podejmowania interwencji. Dopiero Rosjanie pozwolili Obamie uratować twarz, oferując wycofanie broni chemicznej z Syrii, na co przystał reżim Assada. Mleko się jednak rozlało, a od Tokio po Warszawę i od Oslo po Canberę wszyscy sojusznicy Stanów

Zjednoczonych zaczęli poddawać w wątpliwość amerykańskie zobowiązania sojusznicze. A kraje mniej przyjazne Ameryce słusznie wyczuły, że mają większą swobodę działania.

Percepcja, głupcze!

Jeśli czytacie uważnie, zwróciliście uwagę na to, że mowa jest bardziej o percepcji siły Stanów Zjednoczonych, niż o samej amerykańskiej potędze. Nie jest to w żadnej mierze przypadek. Nie jest to również błąd. O ile bowiem percepcja Ameryki za prezydentury Obamy jest taka, że Ameryka się cofa, ustępuje, bądź nie podejmuje działania, to możliwości działania nie zostały aż tak bardzo ograniczone. Ergo, wizerunek jest gorszy od rzeczywistych możliwości, jednak w polityce międzynarodowej nierzadko to wizerunek odgrywa większą rolę od faktycznie posiadanej siły. Percepcja przekłada się bowiem na decyzje podejmowane przez sojuszników, przeciwników oraz kraje neutralne. A percepcja jest jednoznaczna – Ameryka osłabła. Nie potrafi przypilnować porządku na Bliskim Wschodzie, z którego najchętniej by się wycofała – a rewolucja łupkowa być może na to pozwala. Rosja poczuła się na tyle silna, że najpierw wzięła sobie Krym, a później zajęła Donbas, pokazując siłę tzw. zielonych ludzików i możliwości, jakie oferuje wojna hybrydowa. Chiny rozpychają się na akwenach Mórz Południowo- oraz Wschodniochińskiego, roszcząc sobie prawa do kontroli ogromnych obszarów morskich – kluczowych szlaków handlowych – oraz militaryzując skały i niewielkie wysepki.

O ile zarówno w przypadku Rosji, jak i Chin, nie można wiązać wszystkich działań z percepcją słabnącej Ameryki – można nawet skutecznie udowodniać, że pewne decyzje zostałyby podjęte także

wtedy, gdyby percepcja potęgi USA była zupełnie inna, to wizerunek deliberującego Obamy, który lekceważy własne „czerwone linie” i generalnie nie ma zamiaru otwierać kolejnych pól konfliktu, gdy inne nie zostały zamknięte, sprzyja Moskwie i Pekinowi. Do tego drugiego zobowiązałem się wrócić i właśnie to czynię. Chiny, mimo spowolnienia wzrostu z dwucyfrowego do 6-7 proc., nadal wydają się bowiem nieuchronnie zmierzać ku detronizacji Ameryki. Gdy spojrzeć na rozmaite dane, chociażby potencjał produkcji stali czy zużycie cementu, pojawiają się jednak poważne rysy na monumencie chińskiej gospodarki. Weźmy cement, bo to dobitny przykład – Chiny w ciągu lat 2011-2013 zużyły go więcej, niż Stany Zjednoczone przez całe XX stulecie! Z kolei chińskie huty są zamykane na niebywałą wręcz skalę. Boom gospodarczy w Chinach spowodował niesamowitą wręcz nadprodukcję niepotrzebnej infrastruktury – biznesowej, przemysłowej, komunikacyjnej. David Stockman określa to mianem „Czerwonego Ponziego”, którego upadek może wstrząsnąć wkrótce światową gospodarką.

Na odcinku chińskim, a nawet szerzej – azjatyckim, Obama ma pewne osiągnięcia. Oczywiście jest, czego dowodzi teoria sojuszy (polecam „The Origins of Alliances” Stephena Walta), że w sytuacji zagrożenia przez lokalną potęgę (Chiny) jej mniejsi sąsiedzi będą albo przyłączać się do niej (bandwagon) albo szukać zewnętrznego protektora, który zrównoważy (balance) wpływy lokalnej potęgi. Dlatego większość państw ASEAN, Australia, Korea Południowa czy Japonia zdecydowanie cieplej odnoszą się do Stanów Zjednoczonych. Obama wpisał się w te realia swoim pivotem ku Azji, czyli skupieniem większej uwagi na wydarzeniach w Azji oraz na Pacyfiku. Wzmocnił to doprowadzeniem do podpisania Partnerstwa Transpacyficznego (TPP) – kompleksowej umowy handlowo-inwestycyjnej, która obejmuje, obok USA, także Japonię, Meksyk, Indonezję czy Australię. W sumie strony TPP generują

40% globalnego PKB oraz 1/3 wymiany handlowej. Układ ten wymaga jeszcze ratyfikacji, aby mógł wejść w życie, lecz jeśli się to uda, w sferze handlowej dominacja USA i ich sojuszników zostanie utrzymana. Chiny, ale także Europa (o ile nie uda się zawrzeć analogicznego do TPP porozumienia TTIP), zostaną z boku, a to będzie miało wymierne efekty gospodarcze.

Jak ocenić politykę zagraniczną Obamy?

Jaka jest zatem konkluzja? Obama nie doprowadził do upadku hegemonicznej pozycji USA na świecie. Niemniej jednak, możliwości działania USA – a także pozostałych głównych potęg – są mniejsze niż dekadę temu. Świat stał się bardziej skomplikowany, a dotychczasowe narzędzia tracą na użyteczności, bo są mniej skuteczne. Ameryka nadal dysponuje największym potencjałem zarówno ekonomicznym, jak i wojskowym. Tutaj nic się nie zmieniło. I nic nie wskazuje na to, by amerykańska armia nagle miała zostać wyprzedzona przez chińską, czy – to w zasadzie zupełnie niemożliwe – rosyjską. Polityka zagraniczna Obamy była całkowicie odmienna od tej, którą prowadził Bush junior. Obama ostrożnie angażował się w konflikty, w których interesy USA nie były przesadnie istotne (lead from behind w Libii, ograniczone podejście do Syrii czy działań Rosji na Ukrainie), lecz nie unikał zaangażowania tam, gdzie jego zdaniem trzeba było działać (zwrot ku Azji i bliższe relacje z państwami zagrożonymi chińskim ekspansjonizmem) bądź gdzie nadarzyła się okazja (układ atomowy z Iranem i otwarcie relacji z tym krajem po trzech dekadach otwartej wrogości). Należy podkreślić, że Obama postawił na twardą rozprawę z terrorystami spod znaku Al-Kaidy i radykalnego islamu. To za rządów Obamy zabito Osamę bin Ladena oraz setki innych terrorystycznych liderów z najwyższego oraz średniego szczebla, głównie dzięki

kampanii użycia dronów na bezprecedensową dotychczas skalę. Mimo pierwotnego dystansu, Obama zaangażował się z czasem w sprawy transatlantyckie i europejskie – doprowadził do wzmocnienia NATO i wschodniej flanki sojuszu, a także – bezskutecznie, ale jednak – przekonywał Brytyjczyków do odrzucenia Brexitu.

W skali szkolnej (od 1 do 6) oceniłbym politykę zagraniczną Obamy na 3+/4-. A fakt, że dominuje percepcja wycofywania się Ameryki i oddawania przez nią pola skłania do tego, by sięgnąć po pierwszą z powyższych ocen.

Piotr Wołejko